

# Z dziennika starego dziada



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

## Z dziennika starego dziada

...Samiuteńki jeden, jak palec, na świecie całym! siedem krzyżyków, zgarbione plecy, włosów omal, sił niewiele, snu mało, wspomnień do zbytku, pieniędzy odrobina — a w sercu pustki? — Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni, jak ich tam malują!

U Kasi, dokąd chodzę na kawę, gdy się czasem rozgadam ze wspomnieniami mojemu, a rozgrzeję, ten i ów mi powiada: — ale bo, panie, mości — poruczniku — lub t. p., powinienbyś asindziej spisać te różne historie przeszłości, zawszeby się to na co zdało! Zapewne! choćby na zawijanie pieprzu lub sera, albo pod placki!

Albo się to nie wiedziało tego, co za los czeka papier zapisany! Jeszcze dziś pół biedy, papier, gdy stary, nauczono się szanować, a no dawniej, jak tylko nie dokument, nie oblig, w piecu tem palono! albo i gorzej — tymczasem, miły Boże! co z życia zostaje? kawałek papieru — albo nic...

W dziesięć lat po śmierci człowieka gadają o nim, jak o żelaznym wilku; wnuki nie wiedzą o dziadku więcej, niż o królu Gwoździku i bracie jego, Ćwieczku. Ja, com żył, napatrzyłem ci się tego, nasłuchiałem gadania o tych, z którymi poufale przestawałem. Jeszcze grzeszne ciało nie zbutwiało, a pamięć się ulotniła, jak woń, albo za pozwoleniem, smród w powietrzu.

A choć papier — *habet sua fata*<sup>1</sup>, pocziwy to przyjaciel, z którym pogawędzić miło.

Siedem krzyżów, stare dzieje, a dorachowawszy do tego, że się znało i żyło z tymi, co też mieli po siedem, mając sam jakie lat dwadzieścia, to się prawie półtora wieku ma z żywych ust, *de auditu et visu*<sup>2</sup>, no — może i więcej.

Znałem ci ja takich, co czasy Augusta III-go pamiętali, a opowiadali o ojcach, co żyli za Sobieskiego.

Kaduk wie, jest w tem jakaś tajemnica, że, kto o tych czasach z papieru tylko wie i uczył się ich z książek, całkiem inaczej je rozumie i czuje.... Ale co o tem pisać, nie moja sprawa. Jam wcale nie filozof, ale *simplex servus Dei*<sup>3</sup>.

16 maja. Przystąpiło tedy do mnie pisanie; wczoraj się kawałek nasmarowało, chce się zaraz i dzisiaj tego samego. Można się przyzwyczaić, nie przymierzając, jak do wódki, i nałóg sobie zrobić z tego: *quod Deus avertat*<sup>4</sup>.

Osobliwe bo teraz moje życie. Wszystko mnie odumarło — a mnie wola Jego przynajświętsza przytrzymała na tym świecie, abym sobie *liber baro*<sup>5</sup> pobaraszkował....

U Potockich mam kapitału półtora tysiąca czerwonych złotych całego mienia, pro wizyi biorę pięć od sta, co czyni siedemdziesiąt i pięć czerwonych złotych, czyli złotych naszych półtora tysiąca. W sepeciku gotówką, na wypadek choroby lub czegoś ekstrordynaryjnego, złotych tysiąc w dukatach obrączkowych. Garderoba siaka taka....

Z precyozów: dwie obrączki ślubne, sygnet pradziadowski z krwawnikiem, zegarek bregietowski, który idzie, jak słońce! Bielizny ni nadto, ni za mało. Czego chcieć?!

Czym dobrze zrobił, że się przenieśli do miasta, po dziś dzień nie wiem jeszcze, ot, już rok, jak mieszkam w kamienicy na Starem Mieście, drugi się poczyna w czerwcu na Święty Jan, a sam Bóg widzi, nie wiem, czym dobrze zrobił, czy nie, że się przenieśli. Na

<sup>1</sup>*habet sua fata* — ma swoje losy (łac.). [przypis autorski]

<sup>2</sup>*de auditu et visu* — o słyszanem i widzianem (łac.). [przypis autorski]

<sup>3</sup>*simplex servus Dei* — zwykły sługa Boży (łac.). [przypis autorski]

<sup>4</sup>*quod Deus avertat* — co niech Bóg odwróci (łac.). [przypis autorski]

<sup>5</sup>*liber baro* — wolny człowiek (łac.). [przypis autorski]

wsi, w komornem niema się gdzie staremu dziadowi pomieścić, a drugim człek zawadza i sam nic nie robi. Miasto dla próżniaka ma więcej dystrykcji.

Dystrybcyca dnia doskonała. Zrejestrujmy ją. Godzina siódma zimą i latem budzi się człek; jeżeli nie spał, nie potrzebuje się budzić i wstaje. Tandem wszystko nagotowane i stoi z wieczora do rannej kawy na machince, nawet garnuszek śmietanki już sprażonej, tylko odegrzać, i para sucharków. Westchnąwszy do Boga i umywszy się dla siebie a ludzi, jeżeli zima, sam pan, sam sługa w piecu sobie zapalam. Na stole już się kawa gotuje.... Jeżeli lato lub wiosna, okno się otwiera. — Z okna widok nie osobliwy. Dachy, dachy, dachy, a za dachami nad piaskiem czuprynki lasu. Alegórą jaskółki, pod oknem wróble, czasem sroka się przesunie, a na dachach kot, spacerujący, psia jucha, za wróblami — robi paskudną dystrykcję.

Powietrze na tych wysokościach — jeżeli z kominów sąsiednich dymem nie zawiewa — niczego. Nie to, co na wsi, bo czego to z niem w mieście człek się nie nalyka!! jednak niem ludzie żyją.

Kawa — kawaleczek cukru rzuca się na ziemię w kącie dla znajomej myszy, która po niego regularnie przychodzi. A taka śmiała, że, gdybym zapomniał, to się ryzykuje z pod krzeselka ku środkowi, upominając o daninę. Resztki sucharków lub chleba sypię wróblom na okno. A i te zbereżniki tak się uzuchwaliły, że gdy okno zamknięte, w szybę dziobią. Otóż to tak, gdy się kogo nazwycza, że mu się służy!

Tandem<sup>6</sup> miasto się rucha na dobre — idę na mszę do księży dominikanów, dziad znajomy częstuje tabaką zieloną i dostaje grosz, więcej nie mogę dać — ale ten go regularnie dochodzi, jak cukier moją mysz. Na tej mszy przed ołtarzem Matki Boskiej bywa nas krągło osób pięć, nie licząc księdza, serwitora i służby kościelnej.

Stara jejmość w czarnym kapturku z ogromną książką i workiem, w okularach, która wzdycha na kościół cały, wdowa po rzeźniku z Długiej ulicy. Item<sup>7</sup> o kiju staruszek w kápocie, suponuję, woźny być musi, modlący się przykładnie z rękoma złożonymi i oczyma podniesionymi. Item stara panna, loki rude przyprawne; musiało to kiedyś być piękne, formalnie kokietuje Pana Boga, tak się mizdrzy.... Item staruszka, której się ręce okrutnie trzęsą i głowa takież, a podnieść jej już nie bardzo może — ta się modli z pamięci, bo nie dowidzi nieboga.

Item, ostatnia dziewczyna jakaś z różańcem u ręki, blada, oczy jakby wyplakane, koszyk przy niej. Sługą być musi, pobożna jakaś bardzo. Może też, oprócz Panu Bogu, nie ma się komu poskarżyć.

A szósty pan Gabryel Kalasanty Rzempiński, sługa wasz, ongi porucznik, niegdy kawalek obywatela, ale to wszystko *praeteritum plus quam perfectum*<sup>8</sup>.

Godzina dziewiąta, zimą czy latem, dlatego żeby nie zardzewieć i nie skostnieć, człek lokomocyi używa *per pedes apostolorum*<sup>9</sup>, bo na inny rodzaj kieszeń nie pozwala.

O wierzchowej jeździe, choćby człek i mógł jeszcze na siodle się utrzymać, mowy być nie może, a o powozie — ani myśleć. Ale po trotuarach, gdy nie bardzo ślizko, gdy nie bardzo błotno, gdy niema śniegu, gdy niema tłumy, spacer ku ogrodowi Saskiemu lub Krasińskich, lub w aleje — wcale wygodny. Czego chcieć? — ławka się gdzieniegdzie znajduje.

Tu tedy spektakl gratis. Prawie nikogo nie znam, mnie też tak, jak nikt, mogę sobie swobodnie bąki strzelać i napatrzeć się do woli na to, co mnie spokusi.

A w mieście, dalipan, jest bo na co patrzeć. Tać to są żywe komedye chodzące, jeżeli nie tragedye, ci ludzie, co się po ulicach kręcą. Czasem się i smutna farsa trafi. Już mi się zdarzało, jako wiekowemu człowiekowi, widzieć w karetach takich, co zapalki roznosili, i w dziurawych butach tych, co paradowali poszóstno....

Spacer trwa z rozmaitemi waryacyami do obiadu. Jadam zwykle w traktyerzyku na Długiej u Hołkiewiczów, ludzie niezli, chociaż zupę dają przebrzydłą, ale za ten grosz, który się tam płaci, trudno pulpetów i bażanta wymagać, a ludziska też zarobić muszą. Ja się dziwuję zawsze, jak oni i to mi dać mogą za te niespełna dwa złote, co się im płaci.

<sup>6</sup>Tandem — tedy (łac.). [przypis autorski]

<sup>7</sup>Item — także (łac.). [przypis autorski]

<sup>8</sup>*praeteritum plus quam perfectum* — dawno minione (łac.). [przypis autorski]

<sup>9</sup>*per pedes apostolorum* — piechotą (łac.). [przypis autorski]

Jadło się niegdyś lepiej; a na starość, na starość i apetyt niewielki, i byle co starczy. Siłami się nie szafuje. Byle iskierkę tlejącą czemkolwiek podsycić, by nie zgasła.

Holkiewicz czasem do obiadu, zamiast przystawki, plotkę jeszcze jaką miejską da.

Zły to pono zwyczaj, że się po obiedzie przedrzemać muszę, ja to wiem, ale się nałogiem stało. Muszę się więc wdrapać na trzecie piętro i, siedząc na sofce, trochę chrapnąć. Budzę się regularnie, gdy gdzieś na nieszpór dzwonią, i, otrząsnąwszy się, do Kasi. Kawia-reńka nieosobliwa, ale się do niej nawykło, ma się tu swój stółek, swojego „Kuryerka”, „Gazetę Warszawską” i filiżankę kawy, nie takiej, jak ranna, co ją sam robię, z cykoryą — ale to tam mniejsza. Kilku znajomych zawsze sięznajdzie; czas, jak z bicza trzasł, zejdzie do wieczora.... Co tu robić? Staremu po teatrach i ogródkach się nie włożyć, bo i niema za co — więc spacer znowu, ale po mieście i z gawronadą. Od Starego Miasta do świętego Aleksandra — nim się dojdzie, napatrzy się człek do syta, wesel i pogrzebów, pijaków, kłótni, ekwipażów, łobuzów i — czasem ekstraordynaryjnych ewenementów.

Otóż i wieczór; zwrot ku domowi powoli i na górę, porządkuje się nieco gospodarstwo, ściele łóżko, pacierze mówi, pomyśli o przeszłości i kładzie na spoczynek. Gdy sen sklei powieki, Panu Bogu dziękuję.

*17 maja.* Myszy mojej dziś nie było ani słyhać, ani widać, kawałek cukru leży pod stolkiem nietknięty. Czy niezdrowa, interesa jakie familijne, czy, uchowaj Boże, ten kot bury gdzie ją schrupał.

Nie mogę cierpieć tego szelmy, bo to zbójca prawdziwy, poluje na wróble, dobiera się do gniazd jaskółczych, stacza boje ze szcurami, a myszy łyka, jak kluski. I że to tego kto nie zabije — bo to jest zwierzę szkodliwe i paskudne, już spojrzawszy nań, obrzydliwość bierze. Koty bywają zwykle czyste, myją się, czeszą; ta bestya najeżona, poopalana, brudna, ucho jedno gdzieś ucięte, a z oczów mu patrzy łotrostwo. Ale nie może być, żeby moja mysz miała się eksponować na dachy, po których on poluje. Po co? daje się jej cukier, bułka... czasem i co w dodatku.

Raz już tak było, że jej nie widziałem trzy dni, i myślałem, że się co stało biednemu zwierzęciu — aż czwartego dnia — jest! A ja ją znam! i z twarzy, i ze śmiałości poznałbym ją zawsze, a kiedy z sobą raz przyprowadziła jakąś kompankę, zaraz wiedziałem, która obca. Niema nic w świecie pociesniejszego, jak gdy, wlazłszy w sam kątek, siądzie na tyłku, w przednie łapki cukier chwyci i tymi białymi ząbkami chrup, chrup. Czysta wiewiórka i tak elegancko wygląda.

Coby się jej stać mogło! Zdechnąć nie miała przyczyny, wyglądała żwawo i zdrowo.... Okaże się jutro.

Wróble się stawily do apelu wszystkie. To miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne. Na wsi, pamiętam, całe to inaczej wyglądało, czyściej, trochę dziko, ale nie miało to tego urwiszowstwa w sobie, co tutejsze. Miasto działa na wróble. Gdzieś się to brucze, pióra nie w porządku: jedno się nastawiło, drugie nadłamało, trafiają się kulawe, a widziałem jednego, co mu tylko jedno oko zostało, ale proszę tylko patrzeć, jak się to tłucze, czubi, a wrzeszczy, a wierci. Satysfakcja na to patrzeć. Mówią, że Trembecki, szambelan, wszystkie wróble, co do niego chodziły, znał, i ich genealogię. Bałamuctwo! Genealogię! ale ba! — gdzie u nich genealogie, albo to pyta ojca i brata.... Jedna tylko ekscepcya: sam to eksperymentowałem. Gdy matka ze smarkaczem przyleci, co dopiero niedawno się nauczył siakotako ruszać skrzydłami, sama nie je, a jego karmi. Czasem, z pozwoleniem, durniowi pakuje w gardło i tak go ocka, ocka, że się ledwie potem ruszy. A bury na to tylko czeka.... Nie! ten bury, ten bury! Słowo daję, dałbym złotówkę, żeby go kto jakimspodobem sprzątnął, bo tu się nic dalej żywego przed nim nie utrzyma.

*18 maja.* Myszy, jak niema, tak niema. Coś zaszło — coś w tem jest. Szkoda mi jej. Ale kto wie? Może nie wychodzi z dziury dla słabości i gotowa w niej zdechnąć z głodu.

*19 maja.* Dziś miałem ekstraordynaryjną przygodę. Stróż Demko zachorował, który mi nosi wodę na górę, no i czasem przymiecie i śmiecie zabiera. Nic osobliwego pójść ze dzbankiem do studni, bo ja się tam tego nie powstydzę, ale na trzecie piętro, na moje nogi, jest subiekcyi trocha. Czuję potem w kolanach, bo się i tak spuścić trzeba i wdrapać razy kilka. Wszyscy na tego gospodarza krzyczą, że zdierca i kłótnik, a ja tego z nim nie doświadczam, bo oto, wiedząc, iż niema komu mi wody przynieść, sam się o chłopca postarał i przysłał mi go. Skąd on go wziął — Bóg go wie, gdzieś z rynsztoka, bo to dopiero łobuz na łobuzami, co się zowie!! Jakem go zobaczył, a! Jezu miłosierny! choć

go za biletami pokazywać. Buty, poczynając od nich, gdzieś ze śmietnika chyba wziął i dwa razy większe, niż jego niemożliwe lapy.... Spodnie na jednej szelce, obszarpane a zatłuszczone. Spencerek, dam dukata, kto mi powie, jakiego koloru; twarz zamorusana, włosy, jak szopa. A we łbie tym dwoje oczu, jak węgle, czarnych.

Gdy mi się zjawił na progu, myślałem, że przyszedł po jałmużnę, i jużem się gotował z trzygroszniakiem i z kazaniem — aż tu, nie pytany, obejrzał się i do dzbanka.

— A tobie co do niego?

— A kiedy gospodarz mnie przysłał, przez to, że Demko chory.

Więc rozmowa.

— Cóż Demce?

— Kto to może wiedzieć? leży, a zębami dzwoni.

Ani chybi, febra — pomyślałem.

— A ty się jak zowiesz?

— Na chrzcie, to ja wiem, że Józkiem mnie nazwali, a tak — mnie prześladują Czupurnym.

Zacząłem się śmiać.

— Czekaj, a skądżeś ty?

— A znikąd, proszę pana.

— Co u licha, a skądżeś się wziął?

— Byłem u majstra, u szewca, co prawda, ale, jak się spije, to tak wali, że kości łamie, tom uciekł i służę do latania przy sklepach, i ot tak, jak się zdarzy.

— Nie masz rodziców?

— Gdzie? kiedy ich już nie stało! — rzekł Czupurny.

— Gdzie legasz, ha?

— Śpi się to tu, to tam. — I począł się dobierać do dzbanka.

— Patrz-że — rzekłem — żebyś nie stłukł, a popłócz i palców w niego nie maczaj.

Rozśmiał mi się, pokazując zęby białe i furknął. Mój miły Boże, co to z tego wyrośnie! Na gałąź! Aż żal. Bo nawet zdaje się sprytne.

Gdy ze dzbankiem powrócił, dałem mu trzy grosze. Setnie mi się go żal zrobiło, i byłbym go po głowie pogłaskał, ale go ani dotknąć, taki brudny.

Pocałował mnie w rękę.

Pytam go:

— A co to z ciebie będzie?

Rozśmiał się i podrapał za ucho.

— Abo to ja wiem.

— Uczycy cię czytać — odezwałem się.

— A mnie się to do czego zdało! — rozśmiał się. Ale drapnął mi zaraz.

Jeżeli przyjdzie drugi raz, lepiej się z nim rozgadam, bo to żal, zwała się.

*zo maja.* Mysz tedy jest, wróciła wczoraj. Co jej było, trudno dociec. Przyszła szparko bardzo po swoją daninę i jadła, jak zgłodzona. Kruszynki nie zostało. Zdaje mi się, że kawaleczek z sobą poniosła. Kto to może wiedzieć? może matka dzieciom? Jak tam to biedactwo podrośnie, ona je pewnie przyprowadzi.

Wróble na gwałt jeszcze gniazda ścielą, bo widzę, że, gdzie było jakie piórko, słominka, puszek, wszystko chwytają i po dziurach zawłóczą. Jaskółki też bardzo czynne. Wszystko to pracuje i po swojemu Pana Boga chwali. Nie wiem, dlaczego nietoperzów nie lubię. Jak tylko zmierzch, to te włóczęgi biorą się, skądciś nie wiem, i głupio latają. Muszę okna zamykać, bo jeszczeby mi który wpadł do izby, a mówią, że, jak się to we włosy wkręci.... Prawda, że u mnie ich mało, ale jeszcze gorzej, gdyby takiemu jegomości ubrdało się sięść na łysinie. Z tego może być choroba nawet. Do czego się to zdało na świecie te nietoperze! jednemu Panu Bogu wiadomo.

Miałem tedy znowu wizytę Czupurnego. Dziś już był u mnie, jak w domu, a ze mną, jakbyśmy się znali od wieków. Jucha sprytne, łobuz prawdziwy, zabawiał mnie anegdotami brukowemi; że staruszkę powóz na Dziekanii przejechał; że się u Panny Maryi jakoby u dzwonu serce urwało, co ludzie różnie tłómaczą. Spytałem się go o Demka, bo mi go żal, choć napija się; mówi, że leży i stęka. Gospodarzby też powinien posłać i po doktora, bo się to tak biednemu człeku dać zdychać nie godzi.

Gdyby Czupurny chciał się uczyć czytać? Nie mam tak dalece co robić, chętniebym mu się o elementarz postarał i pokazał, ale gdy mu wspomnę o tem, drapie ze strachu.

21 maja. No i Demkowi się zmarło. Zdawał się człek pilny, tylko, że się zakrapiał. Chwył gdzieś febrę wiosennej, nic łatwiejszego, wódka go rozgrzała i nie czuł. Powiadał mi gospodarz, że, gdy przyszło do rewizyi łachmanów i siennika, jak zaczęli chodzić po węzłkach, złotych ze trzysta się znalazło samemi dziesiątkami i berlinkami. Nie do wiary. Jakaś baba teraz się przyznaje, że była jego żoną, i rości prawo do sukcesyi, a gdy żył, nigdy jej tu widać nie było. Dopiero mi rozpaczać zaczęła, gdy już leżał martwy i trzysta złotych się znalazło.

Mysz znowu regularnie przychodzi. Co jej było? Podobno nie odgadnę.

Z Czupurnym jesteśmy za pan brat. Ryzykuje się od progu do pół pokoju i wszystko ogląda — oczyma sznurkuje. Takie to ciekawe a rozgarnięte — a takie brudne. Straszniem się śmiał, gdy mi dziś z pychą oznajmił, że gospodarz go przyjął w miejsce stróża. Słyszę, nie chciał na żaden żywy sposób, a ten mu po nogach pełzał, żeby na próbę go tylko, na tydzień choćby przyjął, i zaklina się, że domu nie odstąpi i że wszystkiemu radę da. Ciekawym. Gospodarz przez kalkulację gotów go zatrzymać, a to się na nic nie zdało. Dziecko się zamęczy, no, i niczego się nie nauczy i na wiek wieków zostanie przy miotle i cebrze.

23 maja. Znowu myszy mojej niema. Prowadzi życie nieregularne, tegom się po niej nie spodziewałem, bo minę ma uczciwą, a bałamuci się. Nie spodziewam się, żeby ją jakie nieszczęście spotkało.

Że dziś deszcz padał, nie rychłom wyszedł. O niezwykłej godzinie patrzę, z dziury, którędy ona przychodzić zwykła, wylazi pyszczek, ale nie jej. Dowodnie wiem, że nie jej. Ta wchodzi śmiało, a ten intruz oglądał się i oglądał, więc jak nie tupnę nogą — a nie pójdziesz ty mi precz! Dosyć, że się już i inne o tym przesmyku dowiedziały. Ale zasię! miejsca jeszcze wakującego niema, a ja kilku myszy żywić nie mogę, zwłaszcza, że ten Czupurny, no — nie można się nie ulitować, a bywa, jak powiada, głodny. Jużci nie kłamie.

24 maja. Teraz, gdy przychodzi po dzbanek, a nie ma co robić, czasem się zagadamy. Spytałem go, ile ma lat.

— Tego to ja nie wiem, proszę pana. Jak matusi się zmarło, to mnie Izidorowa, przekupka, wzięła z miłosierdzia, com siedział, ja tam nie wiem, coś lat dwa przy straganie. Razem jej bułkę zwędził, czegoś zła, zła — i precz — a że mnie szewc Sawikowski widywał, poszedłem doniego. Wzion mnie. Myślałem, co mnie swego rzemiosła uczyć będzie, a on, za uszy wytargawszy, powiedział, że mi smarkacz, że mi jeszcze zawczasu. Tom po to u niego był, żeby się znęcali nade mną, kto żyw. Majstrowa sobie, Sawikowski sobie, a szelmy chłopcy, to łaska Boża, że wyszedł z duszą. Bywało, od serów na głowie guz na guzie, a sińców to ani zliczyć. Napije się majster, to, byłem pisań, to wali pociągaczem, bo to u niego był zwyczaj i po trzeźwemu, żeby rozumu nabijać, dostawało się i drugim. Takem go i porzucił.

— Cóż z ciebie będzie? — spytałem.

— Jak Pan Bóg da, stróżem będę; a na co mnie więcej. Demko, słyszę, strach, co pieniędzy nazbierał.

Rozśmiałem się.

Powiedział mi nazwisko straganiarki, u której był, ciekawość wzięła u niej o chłopca popytać.

Baba herod czysty, spała okrutnie, a mała, trochę wąsów, a wyszczekana i no! Jużem ją przywitał, jak nie można grzeczniej. Zrazu zrozumieć nie chciała, po co przychodzę, a gdym o Józku zagadał, poczęła, jak pytel:

— A bo to jucha! skurczypałka! nic dobrego! Łasował a lasował, i w miejscu go nie było utrzymać; gdzie się dwóch łobuzów tłukło, on pewnie już tam trzecim musiał być. Tobi jeszcze było nic; bo to młodość — trudno, ale ja go, bywało, po macierzyńsku, w mordę chlasnę, to mi zaraz nogi za pas i ucieka. Słyszę, że i u szewca nie wytrwał.

Poczęła wróżyć gałąź i szubienicę; a jednakjawnie go jej żal było. Spytałem, czy nie wiedziała co o rodzicach.



— Jakżeż nie, tomci ich znała: ojciec się zapił, ale to bodaj nie był ojciec, bo się z nią ożenił, gdy ten już był na świecie. Matka była zbytnica, ot też i skończyła marnie. Jabłko się nie odtoczy od jabłoni.

Gdym odchodzić chciał, poczęła pytać o chłopca — tak go jej było żal.

25 maja. Myszy niema, prawdopodobnie już nie wróci. Wróble też pono jadła nie potrzebują, jak w zimie i w ciężkie czasy, zdezertowały; jeden Czupurny mnie się trzyma. Przynoszę mój chleb, co go nie dojem przy obiedzie, a czasem i jaką polizówkę. Chłopiec się do mnie przywiązał i spoufalił się, że już do stolika przychodzi, oprze się łokciami na nim i tak ze mną gawędzi.

Muszę mu choć na tandecie buty kupić, bo na te poczarne, ogromne chodaki parzyć nie mogę; ale mu nie dam, chyba się zacznie uczyć czytać ze mną. Ma taki wstręt do elementarza, że, jak go zobaczy, bom już kupił umyślnie — drapnie, jak dyabeł od święconej wody! Ale figłem go podejść.

26 maja. Nigdy się nie spodziewałem, mysz z wojażu powróciła. Jest! jest! ta sama. Nie znam obyczajów tych stworzeń; lecz po co ona, mając to, co do życia potrzeba, włóczy się gdzieś po dziurach? Może na pułapkę trafić.

Czyby też i myszy miały fantazyę mieć? — wszystko to być może.

Doktor Sulzer, człek stateczny i uczony, chociaż mu się znać nie wiedzie — spotykam go u Kasi — powiada, że bodajby się na wojnę nie zebrało. Prorokuje drożyznę wiktuałów. Byłe Holkiewiczowie nie podnieśli ceny obiadów, bobym musiał zredukować się. Ale zresztą! co mi tam!

27 maja. Czupurny się uczy, ale dla butów; pokazałem mu je i nie daję, aż alfabet pozna. Pojętny nadzwyczaj, a leniuch! Ja mu pokazuję litery, ten zagaduje, co się na ulicy działo, co w kamienicy. Kucharka z dołu opuchła, suponuje, że pani ją jak utraktowała. Na drugim piętrze jejmość z jegomością tak się klócili, że wszyscy powybiegali słuchać, bodaj czy do kułaków nie przyszło, bo w końcu jejmość się rozbeczała. Ale ten Czupurny powiada, że, ile razy męża wythucze, potem sama płacze. Oboje pono nieszczególni ludzie. Ja mu A, B, C, a ten lichy wie, co....

1 czerwca. Nareszcie alfabet umie — i buty wziął. Do sylabizowania trzeba stare spodnie odłożyć; za darmo się uczyć nie będzie.

Doktor Sulzer, czarno patrzący na świat, przewiduje w tym roku tyfus, a uchowaj Boże, wojny, zarazę morową. Przydałoby mu się oboje, bo klientów nie ma, a człek widocznie bardzo uczony. — Studnia najrozmaitszych wiadomości, cóż z tego, gdy mu się nie wiedzie. Jada on także u Holkiewiczów, praktykę ma bardzo skromną. Czarno patrzy na świat. Inaczej nie może być. Powiada, że wszyscy doktorowie, oprócz niego, osły. Uczeń Franka. Rozmaitych u niego historii pełno. Lubię go słuchać; ale, gdybym chory był? — hm! — nie wiem, posłałbym po innego. Gdy się komu nie powodzi, trudno w niego wierzyć — taka ludzka natura.

2 czerwca. Ja z tym chłopcem rady sobie nie dam — coraz mi bardziej rozwydrza, a jużem go złapał na łasowaniu. No cóż? wyszczerzył zęby, począł się śmiać, pocałował w rękę, zaręczył, że tego więcej nie będzie. Prawdę rzekłszy, nie było go tam tak bardzo o co pozywać. Kawalek szynki, com sobie przyniósł na podwieczorek, bo kolacyi nie jadam.

Sylabizować poczyna. — Ale mam wątpliwości, bodaj, czy nie umiał on już wprzódy i alfabetu i sylabizowania, a udawał tylko dla butów i spodni, że się uczy! Minę ma taką figlarną, i tak mu to idzie chwilami łatwo.... Ale, przypuściwszy nawet, żeby tak było! Jestże to znowu grzech tak wielki? Chłopię straszliwie biedne, w nogi mu było zimno. Sądził, że darmo nie dostanie okrycia. Przytem, to są domysły, dowodu nie mam. Katechizmu go pono nikt nie uczył, a natura i instynkt każą się ratować — choćby sprytem. Innemuby to było nie do przebaczenia, jemu — odpuszczam chętnie.

Zdaje mi się, że stary surdut tabaczkowy, gdyby go przerobić, jeszczeby mu mógł służyć wyśmienicie.

3 czerwca. Chłopiec mnie codziennie więcej zajmuje, prawdę rzekłszy, przez egoizm — paskudna ludzka natura. Nie mam się do kogo przywiązać. Mysz mi zginęła, wróble się absentują — chłopak daleko mi więcej robi satysfakcyi, zwłaszcza, że roztropny.

Chodziłem na zwiady do przekupki, u której teraz bułki sobie kupuję; dopytałem nazwiska domniemanego ojca, matki; po tej nici do kłębka dojdę i genealogię Czupurnemu wysztyftuję i metrykę mu wynajdę, bo jużci gdzieś chrzczony był.

Zgadało się o tem z Sulzerem, który, biedę klepiąc, zwykle ubogich leczy i lachmany zna doskonale. Sulzer mi mówi, że matkę jego pamięta, że istotnie chłopak już był na świecie, gdy się ten lajdaczyna z nią ożenił. Ona szła za niego, aby mieć podporę w mężu, a on — by miał z niej sługę. Kobieta była delikatna, słabowita, zamęczył. Sulzera zawołali do niej, gdy już nie było żadnego ratunku; opowiadała mu o swoim życiu. Była wprzód garderobianą u starościny N.... Syn jej, młody chłopak, całemu jej nieszczęściu winien. Starościna, dowiedziawszy się o stosunkach, wypędziła ją z domu bez litości. Miły Boże! znam ten dom! Starościna za młodu nie była tak surową dla siebie, i wiele mówiono o jej różnych miłostkach. Ale, co wolno Jowiszowi, nie wolno... prostej garderobiance. Pana starościca, a dziś senatora S... znam nawet. Że też się ani spytał, ani dowiedział, co się z nieszczęśliwą stało.

Dosyć, że to cały romans, ten chłopiec — a właśnie nie komu innemu się dostał w ręce, jak mnie! Zrządzenie, Opatrzność Boża.

4 czerwca. Spotkałem się dziś z gospodarzem na schodach; ja, choć go tu wszyscy nie lubią lokatorowie, jestem z nim w dobrych stosunkach. Niezły człowiek, tylko trochę gorący. Zajmuje się handlem i ma na dole sklep łokciowy. Nieustannykłopot, kontrola, dogłądanie muszą wpływać na charakter. Ma na głowie i administrację kamienic dwóch i handelek.

Zobaczywszy mnie, przywitał bardzo uprzejmie, była godzina poobiednia, szedłem właśnie do Kasi na kawę; zaprosił mnie do siebie, niema co mówić, bardzo grzecznie. Dwoje ich jest, podżyli ludzie, mają podobno tylko jednego synowca, i to urwisza, z którym sobie rady dać nie mogą. Nudzą się, szczególnie ona, bo sama jedna siedzi, a jak się wymodli w kościele, kwiatki poleje, kabałę parę razy pociągnie, chyba w okno sięść i na ulicę popatrzeć. Mieszkanie mają wcale porządne, choć przez oszczędność od tyłu i w sąsiedztwie tego niesfornego małżeństwa, które takie hałasy wyprawia.

Gdyśmy siedli do kawy, a nie można powiedzieć, tylko że kawa była wyśmienita, bez porównania lepsza, niż u Kasi — powiada mi mój juryzdator:

— Pewnie to uszu i pana doszło, że nie mam łaski u moich lokatorów; ale jakże tu im dogodzić? Jedni nie płacą, drudzy mi dom niszczą, inni spokoju sąsiadom nie dają, wszyscy dlatego, że pod moim dachem mieszkają, przez to samo nienawiść mają do mnie.

— Proszę mnie do tego pocztu nie zaliczać — rzekłem — bo skarżyć się nie mam powodu.

— Waćpan, panie poruczniku, człowiek jesteście stateczny, do porządku nawykły, nie mamy powodu do kolizji żadnej z sobą.

Gdyśmy się rozgadali, wspomniałem o Czupurnym, że mnie ten chłopak interesuje.

— Mnie też — odparł gospodarz — biedna to sierota z bruku, trzeba nad nim miłosierdzie mieć. Ale szczególna rzecz, że takie biedactwo, byle mu lepiej było, zaraz się psuje, trzymać należy ostro, wzięłem go za stróża, co śmiechu warto, bo to smarkacz, a wistocie i ja sam, i moja służba na kamienicę nagląda, a jego trzymam w sperandzie, że go na człowieka wyprowadzę.

Małom go nie uściskał, tak mi tem trafił do serca, i opowiedziałem mu z mej strony, co robię z Czupurnym. Dosyć, żeśmy się uśmieli. Dobry człek, słowo daję, bardzo w gruncie zacna natura.

6 czerwca. Idzie mi o to, jak się do senatora zbliżyć — zachodzę w głowę. Za małą jestem figurą, abym się ważył zachodzić mu drogę. Znałem ci go młokosem, ale mnie sobie nie przypomni. Możeby, dowiedziawszy się o chłopcu, uczynił co dla niego? Chociaż znowu trudno! Choćby miał serce, wstydzic się będzie.

Mysz już drugą powoli sobie przyswajam: wcale inną ma naturę, zwawsza, śmielsza, więcej nie dowierzająca, płochliwa, ale z dniem każdym nabiera poufałości. Zuchwałe to razem i nieufne.... Wpada czasem aż za krzesło, a byle szelest, piorunem do dziury. Nie jest tak ładna, jak tamta pierwsza, nie ma tych ruchów, co poprzedniczka. Co się też z nią stać mogło? O! ten kot! ten kot!

8 czerwca. Nigdybym się był tego nie spodziewał, nigdy w świecie! Czupurnego niema ani śladu! Wesół był, chwalił się, że mu doskonale, na robotę się nie skarżył, całował mnie



po rękach, nazywając dobrodziejem, a wczoraj do dnia, zabrawszy swe łachmany, drapnął. Gospodarz we furii na łobuza, próżno go mitygowałem!

Powiada — nikczemnik! Co to tam potępiac zaraz. Lato, mosanie, chłopcu się chciało na swobodę; to jest w naturze. W okolicy, na powietrzu świeżem znajdzie sobie robotę biedaczysko!

A miałem już tak piękne dla niego projekta! Byłbym pana senatora zainteresował i — mógłby być pójsć do szkół.

Ale to, słowo daję, tak jak z tą myszą, ledwie się zaczęła przyswajać i poszła szukać lepszej doli. Mam już takie dziwne szczęście, do czego się zaczęę przywiązywać, Pan Bóg mi to odbiera. Wola jego. Może to i lepiej? boby człek potem miał z tego jaką zgryzotę.

Poskarżyłem się Sulzerowi, naśmiał się. Powiada, dziękuj asindziej Panu Bogu, że się to zawczasu stało, i że jeszcze nie okradł, uchodząc.

Zgorzkniały jakiś człek. Zaraz — okradł.

*11 czerwca.* Nie mogę inaczej powiedzieć, tylko, że mi po tym chłopcu straszliwie tęskno. Więc i dobrze, że drapnął, boby mi się był zanadto przywiązał. Ta samotność dokuczliwą jest. Na zimę pewny jestem wróble, myszy są niestateczne. Karm je, karm, żebyś im nie wiem co dawał, skłonne są szukać lepszego losu i nikną. Po kilka dni żadna się teraz nie pokazuje. Latem widać i one na pola wychodzą, bo im natura i swoboda miła.

*12 czerwca.* Gdym dziś wieczorem poszedł na przechadzkę do świętego Aleksandra, jak zwykle, patrzę: na placu, poznałem go po spencerze, uwija się mój Czupurny; ten sam, słowo daję, z workiempiasku na plecach, ale jak mnie zobaczył, w nogi. Próżnom kiwał i wołał, czmychnął. Przecież się mnie nastraszyć nie mógł.

Pięknie zamienił kondycję! Ciężki piasek, może wilgotny, dźwigać na plecach. Ale na swobodzie! a przytem w towarzystwie innych łobuzów. Młodość potrzebuje ruchu, awanturowania się. Alboż to i ze mną inaczej było, gdym zemknął od rodziców do wojska!

Nie byłbym go sekował o ucieczkę, chciałem tylko dać admonicję — ale jak drapał! jak drapał! aż się kurzyło. Nie byłem widać dość dla niego powolnym, gdy mi nie ufa.

*13 czerwca.* Sulzer mi się przyznał, że ostatkami goni. Praktyki mu latem zawsze brak, a i zima licha, najwięcej kiedy dwuzłotówkę weźmie. Musiałem mu pożyczyć dukata. Ręka rękę myje. To tylko źle, że na świat narzeka — ludzi czerni. Cóż temu kto winien, że jemu się nie powodzi? A mnie za tyłu innymi. Powiada, że doktorowie go prześladują — ale i on pocziwej nitki na nich nie zostawi. Gdybym mógł co pomódz temu człowiekowi — bo słuszny człek jest i nie głupi — tylko skwaśniał. Mówią, że po wsiach doktorów brak. Czegóż on tu siedzi? Powiedziałbym mu to, ale będzie myślał, że się go chcę pozbyć. Biedne człeczysko.

*14 czerwca.* Awanturę miałem formalną. Gdym ze mszy szedł, patrzę, psisko się wlecze, skowycząc, nogę za sobą wlecze, czy przebitą, czy złamaną. A chudy był! Począłem go wołać i — wabić. Stał, potem zbliżył się do mnie. Powoli, powoli dał się podprowadzić do domu. Nie darmo się dawniej myśliwym było i ze psy miało do czynienia. Obwiązałem mu nogę szmatą i nakarmiłem. Psisko się ani już chce ruszyć ode mnie. Kłopot — gospodarz w kamienicy psów nie znosi; porzucić nieboraka z tą nogą! Nie wiedzieć, co począć! Zaprowadziłem go do przekupki i zapłaciłem, żeby mu przy sobie zostać dozwoliła. Psisko, jakby zrozumiało, położyło się u budy. Jutro się przyjdę o niego dowiedzieć.

*15 czerwca.* Pies będzie zdrow, nogę miał nie złamaną, ale stłuczoną mocno, wylizę się. Gdym przyszedł się dowiedzieć, poznał mnie zaraz i ogonem zaczął merdać. Czy go pan porzucił, czy się zabłąkał?? czy go jakiś przypadek spotkał? Nakarmiłem go, i baba mi przyrzekła, że mu da leżeć przy sobie.

Sulzer zdał mi się dziś trochę jakby napiłym. Nie jestem pewnym — miałżeby nałóg?? I to być może.

A zaraz go potępiac! Boże miłosierny, człowiek, co żadnej w życiu pociechy nie ma, że z desperacji szuka w kieliszku chwilowego szczęścia błysku, siły do życia? Gdy wielcy i potężni panowie piją, to nic, a gdy biedne człeczysko sobie podchmieli, zaraz nań kamieniem ciskają.

*16 czerwca.* Pies, wylizawszy się — uciekł. Ani mu się dziwuję, musiał dawnego pana odszukać. To i lepiej. Przekupka, która się do niego przywiązała, strasznie narzeka na

psią niewdzięczność — a dawny jego pan takżeby miał do tego prawo, gdyby, mogąc doń powrócić, zaniedbał.

*17 czerwca.* Dzień szczęśliwy — dzień prawdziwie do zanotowania. Tegom się nigdy w życiu nie spodziewał. Idąc Miodową ulicą, naprzeciwko Sądu apelacyjnego, patrzę, stoi ktoś, taratka czarna, na szyi chustka po naszymu, po wojskowemu, wąs szpakowaty do góry, przysiądz, że Posiłowski. Ale skądby się on tu wziął? Stałem, ten się też gapi na mnie i powoli podchodzi. Jam nie śmiał, i on też, zaczepić, mierzyliśmy się oczyma długo. Wreszcie przystąpiłem: — Posiłowski. A ten, jak mi się nie rzuci na szyję!

Służyliśmy w jednym pułku, leżeli w jednym lazarecie, odbyliśmy wspólną niewolę — razemśmy się pojedynkowali o głupstwo.... Dopieroż się posypały pytania; zaszliśmy pod „Szczupaka”. Nieboraka sprawa tu zapędziła, ma folwarczek pod Garwolinem. Żonaty, ma dwoje dzieci, ale się już o szpakowatych włosach ożenił. Ponieważ tego dnia nie miał już nic do atentowania, zaprosiłem go na obiad do Holkiewiczów, zapowiadając, że występować nie myślę, on też gęby popsutej mieć nie powinien....

Tośmy się nagadali, ażem odżył. Z obiadu poprowadziłem go do Kasi, na kawę, wieczorem wreszcie do mnie, bo końca rozmowie nie było.

Zestarzał się pocziwy Krzysztof! Powiada, że mu się stare rany czuć dają. Mój miły Boże, ma rodzinę, dom, dzieci, tyle rzeczy do kochania, a na dolę się skarży. Musiałem mu powiedzieć — nie obrażaj Pana Boga — a ja?

Ten-by się był gotów mieniać na moje sieroctwo! Jak tu człowiekowi dogodzić? Przyznałmi się, że żona sekutnica, że ją wziął dla tego folwarczku. Ale chociażby i tak było, przecie dwoje dzieci ma! Toć to skarb! toć to złoto! toć to łaska Boża! At!

Zaprasza mnie do siebie. Pojechałbym, albo i poszedł, ale po co? Napatrzę się cudzego gniazda, to mi w mojej dziurze tęskniej potem będzie.

*18 czerwca.* Nie odstępuję na krok Posiłowskiego, opowiadamy sobie nasze stare historie i radziśmy z siebie — radzi! Z tego, co mi wyśpiewał, widzę, że dostatków wielkich nie ma, ale mu chleba nie brak. Czegóż chcieć?? I ten kwaśny! Po obiedzie, gdyśmy do Kasi szli, znalazł się Sulzer, którego parę dni nie było. Cięliśmy gawędę we trzech i marysza do puli. Spędziłem czas do wieczora jak nie można weselej. Posiłowski sprawę swą skończył — i jutro do domu. Szkoda mi go, ale dobra psu i mucha! Parę dni spędziłem wesoło, za co Panu Bogu niech będą dzięki.

*19 czerwca.* Odprowadziwszy trochę Posiłowskiego, powracałem do domu, gdy — patrzę, wleczę się przede mną, nakuliwając, chłopię, jakby Czupurny. Ja go łap za ramię. — A tuś mi!

Zląkł się i chciał uciekać, ałem go schwycił mocno.

Czy myślał, że go będę bił — bo jak mi się rozbeczał!! Ledwie go uspokoilem, żeć mu złego nie zrobię nic, a chcę wiedzieć tylko, dlaczego uciekł.

— Nie można było wytrzymać — rzekł z płaczem — codzień jedno a jedno, i jegoć kroku nie dał zrobić za drzwi. Nogi pozakłękały od siedzenia. A tu zamiataj podwórze, zamiataj sień, zamiataj schody, a noś wodę, a wywóz śmiecie.... I taką strawę dawali, że i piesby nie jadł.

Reflektowałem go, dając mu nauki moralne, ale mało to do niego przystawało; wystawiłem mu całą przyszłość, gdy łobuzować tak będzie. Wysłuchał, to prawda, ale, jak potem pięty zadarł, gdy go puścił! Nauczyłem go tylko, gdzie mnie może spotkać, uchowaj Boże, wielkiego jakiego wypadku! bobym rad pomógł.

*23 czerwca.* Dawnom nic w dzienniku nie zapisywał, ale bo nie było co, życie nader jednostajne, trudno wymagać, aby dla mnie Opatrzność siurpryzy wymyślała. Sulzer pozawczoraj pożyczyl znowu dwa dukaty, nie mogłem odmówić, uważałem, że wczoraj był nietrzeźwy znowu. Biedaczysko — nie chcę mu nic mówić — każdy ma swą słabość.

Byłbym istotnie niewdzięcznym, skarżąc się na Opatrzność, bo dziś mi usłużyła tem, czego dawno pragnąłem. Nigdy się nikomu nabijać nie mam zwyczajem. Idąc Saskim ogrodem, spotykam senatora. Anim myślał się z nim witać, gdy podszedł sam do mnie i zagadnął mnie po imieniu. Dosyć, że poznał.

Musiałem mu się spowiadać z tego, co cię ze mną działo i dzieje, z wesołą twarzą, aby nie myślał, Boże odpuść, że potrzebuję czego. Stał mi na pamięci ów chłopak.

Przyznam się, że filut, bo, gdy mi zaproponował, zapewne nie mając co robić, abyśmy w kątku na ławie usiedli, i wyzwał mnie na opowiadanie życia mojem, tak popro-

wadziłem żartobliwą historię moich dni samotnych, żem o Czupurnego zaczepił i imię jego matki napomknął. Bóg widzi, nie dlatego, abym mu chciał przykrość uczynić, ale dla Józka. Najmniejszej rzeczy nie dał po sobie poznać, śmiał się, nie spytał więcej, słuchał roztargniony, a gdy się jakaś pani ukazała zdala w ulicy, pożegnał mnie prędko i odszedł ku niej.

Niepodobieństwem jest, aby to na nim wrażenia nie uczyniło, ale człowiek wielkiego świata umie nic nie okazać po sobie. Postarzał mocno, a czy to jakie *rendez-vous*<sup>10</sup> w ogrodzie miał?? Natura widać się nie zmieniła.

Nie prosił mnie wcale, abym go odwiedził, z czego teżbym się wymówił, bo to dom nie dla mnie.

25 czerwca. Byłem u moich gospodarstwa na kawie znowu. Gadu, gadu, niepotrzebnie może wygadałem się im, że mam kapitalik u Potockich, na pięć prowizyi umieszczony. Kupiec dowodzi, że, gdybym go w mieście starał się ulokować, miałbym ośm do dziesięciu łatwo i żyłbym mógł daleko wygodniej. On sam, jak powiada, chcąc handel swój rozszerzyć, wziąłby kapitał na ośm.

Zapewne, nie od rzeczyby to było! nie od rzeczy! Człowiek, zda się, stateczny, dwie kamienice ma — handel duży. Zabieglivy....

Tak mi to wbił w głowę, że ciągle z tem chodzę; trzy procenty więcej nie jest bagatelą, możnaby i samemu żyć i nieraz się z kim obficiej podzielić.

Sulzer pije — bardzo to niedobrze; żal mi go — ale na to niema rady!!

29 czerwca. Szczególne mam łaski u gospodarza. Prosili mnie na gospodarski obiad. Był barszcz i flaki, jakich już nie pamiętam, kiedy jadłem. Butelkę wina postawił węgierskiego, którąśmy wysączyli do dna i poprzyjaźniliśmy się bardzo. Serdeczny człek.

Zagadnął mnie o kapitalik, naciskając trochę, abym się zdecydował. Radbym mu usłużył, zwłaszcza, że to z korzyścią jest i dla mnie, a znowu nie radbym okazać jakiejś nieufności Potockim, którzy mi zawsze w terminie regularnie prowizyę płacili.

1 lipca. Wypowiedziałem tedy mój kapitalik, bo trudno być nieużytym dla ludzi i na własną też korzyść, tak oczywistą, obojętnym. — Plenipotent, człek jakiś bardzo, bardzo poważny, nie rzekł mi nic, tylko, gdy mu racyę przełożył, powiedział, że należy być ostrożnym, bo, kto na wielkie prowizyę poluje, ryzykuje często sam kapitał. Ale przecież mój gospodarz i stateczny i majątny — żadnego niema niebezpieczeństwa.

Uczyniwszy mi tę uwagę, przyrzekł wyplatę bez trudności. Chwała Bogu, że się gospodarzowi wygodzi; ucieszył się bardzo, gdy mu oznajmił o tem. Ja też się raduję, bo i Sulzerowi się czasem co wetknie i Czupurnemu grosz jaki, no — i innym. Trybu życia postanowiłem nie zmieniać. Po co mi wygodki, żyło się tak czas niemały, i dobrze było, nie potrzebuję ani lepiej, ani inaczej. Ale satysfakcyę mieć będę! satysfakcyę!!

2 lipca. Przychodzę do Kasi dziś, a ta mi powiada, że chłopak jakiś trzy razy przybiegał, dowiadując się do mnie od Sulzera, który leży chory przy ulicy Wałowej, żebym do niego szedł co prędej.

Przełąknęłam się mocno, tak, że, kawy nie tykając, pobiegłem pod numer wskazany, trzecie piętro. Znalazłem go w nędznem mieszkaniu; jakaś średniego wieku baba brudna koło niego, lamentując, chodziła. — Biedny człek, drugi już dzień grosza w domu nie miał, a gorączka go jakaś trawi. Dałem najprzód zasilek, a sam poszedłem do znajomego mi doktora Zeilera, żeby radził. Szczęście, że go zastałem, ale podobno ratunek za późny. Zeiler powiada, że się zniszczył nadużyciem trunku, i jakoś nazwał chorobę, nie obiecując nic dobrego. Jutro raniuteńko muszę iść i siedzieć przy nim. Nie mam też nic lepszego do roboty. Z zapasu wziąłem już dukatów pięć, bo na co mnie go tyle, gdy tu człek w niedostatku!

3 lipca. Źle jest z Sulzerem, dogorywa — nie chciał, abym przy nim nocował — baba szłocha — przynajmniej mu rosółu zgotowała dobrego, ale nie może jeść. Podejrzewam ją, że mu wódkę nosi, a Zeiler zakazał pod karą śmierci.

5 lipca. Zmarł biedaczysko Sulzer dnia wczorajszego, no i nie było go za co pochować. Musiałem pójść do zapasu znowu, na chwałę Bożą! Ot, dobrze, że się to miało i mogło spełnić obowiązek. Bądź co bądź, braknąć mi będzie tego człowieka. Dobry był, roztropny był, drugim doskonale radził, — a no, słabość ludzka, nałóg!! Niech odpoczywa w pokoju.

<sup>10</sup>*rendez-vous* — spotkanie, schadzka (franc.). [przypis autorski]

W kawiarni u Kasi, długo się za nim oglądać będziemy, bo i miał co powiedzieć i umiał gadać. Bawił wszystkich — szkoda człeka.

*10 lipca.* Zjawił się Posiłowski znowu, podobno ma syna do szkół oddać i szuka mu kwatery; a na mnie zdaje nad nim opiekę. Prawdziwe szczęście, bo dzieci lubię i będę miał przyjemne zajęcie. Zapowiada, że chłopak żwawy, jak żywe srebro, tem lepiej, mazgajów nie znoszę.

Zaprosił mnie na śniadanie, aleśmy siedzieli do wieczora na niem, nie mogąc się nagadać. Poczciwości człek. Wieczorem jam go poprowadził do Kasi, bo lubi czasem w bilard zagrać, i tak się do nocy przebawiło.

Niezmiernie mnie ucieszyło, że mu kilku dukatami mógł wygodzić. Wybrał się z domu trochę nieopatrznie, a Warszawa kosztuje — hu! ho!

*11 lipca.* Odprowadziłem za rogatki poczciwego Posiłowskiego, ale mi się było z nim ciężko rozstać. Zaprasza mnie na gwałt do Sroczyzna, do siebie, na dni parę. Dlaczegoż nie? Czas już trochę gorący, ale rankami i wieczorami idzie się z przyjemnością. Pójdę pieszo, nie mam co robić, to się rozruszam, i służyć mi będzie po miejskiej sedenteryi. Czemu nie?

*1 sierpnia.* (Z powrotem ze Sroczyzna). Nie taję tego, iż z przyjemnością wdrapałem się na moje trzecie piętro i wróciłem do moich penatów i myszy. Nie puszczał mnie poczciwy przyjaciel ze Sroczyzna, alem dłużej siedzieć i nie mógł i nie chciał.

Posiłowska, zacna, miła i wcale jeszcze niczego kobiecina, znacznie młodsza od męża, ma tę przywarę, że zgryźliwa jest trochę i gderać lubi. Ale któż bez ale?

Dostawało się tedy i przyjacielowi, za com w rączkę, niezbyt białą i nie zawsze czystą (przy gospodarstwie inaczej być nie może) — całował. Posiłowskiemu głowę myła dobrze, ale to go utrzymuje w emocyi i nie daje mu zestarzeć, sprawia, że nad sobą czuwa i jest mu zbawieniem. Przytem ma ten zły zwyczaj, że ząb za ząb się spiera, i to ją rozjątrza.

Dzieci nieładne i trochę rozpieszczone przez matkę. Ten, co pod moją opiekę ma iść, wisus, nie przeczę, ale w szkołach mu rogów przytrą.

Użyłem świeżego wiejskiego powietrza do syta. Stół był gospodarski, niewykwintny, skromny, ale się z głodu nie marło. Widząc, jak jejmość oszczędną jest, środy i piątki suszyłem, co mi na zdrowie poszło i czuję się rześwym, jak nigdy. Śniadania też wołałem nie jadać.

Prawdziwie powiadam, że dla starych ludzi to niema, jak takie życie skromne. Dali mi wyśmienite pomieszczenie w lamusie, gdzie, prawda, światła i tytoniu wprowadzać się nie godziło — ale po co mi było w lecie światło i nocą tytuń. Świeże siano pachniało tak aromatycznie! Bez szcurówbym się był obszedł, które nocą dokazywały, mało jednak mi przeszkadzały, i kij stawiałem zawsze, którym byłem zastukał, zaraz się to wszystko po norach rozbiegało.

A nagadaliśmy się i przegadali — co dusza pragnęła.

Gdy się po takiej długiej niebytności ukazał u Kasi — jakże mnie te poczciwe ludziska witały, małym się nie rozpląkał.

Tylko Sulzera na jego miejscu zwykłym przy stoliku nie było. Kawa mi się wydała doskonała, zadymiony pokoik tak wesołym i miłym, jak rzadko; wszystkie twarze mi się śmiały, a pytań było bez końca. Nie zapomniałem o małych prezencikach ze wsi.

Ta Kasia, choć się na nią służące skarżą, że je strasznie trzepie, ale w gruncie, najlepsza kobieta. Dziewczętaby się porozpuszczały, to dla ich dobra. A i tak, ta Marysia, taka śliczna dziewczyna, jak malina, padła ofiarą. Gdyby ich ostro nie trzymała, byłoby gorzej jeszcze....

Nikt jednak nie witał mnie serdeczniej, nad moich gospodarstwa oboje. I on, i ona, gdy mnie zobaczyli, chwycili zaraz do siebie, utraktowali i ugościli.

W mojem mieszkaniu faworyty sobie trochę pozwalają. Pomimo, że tam dziewczyna okna otwierała, przewietrzała, naglądała codzien, myszy gospodarowały. Jedna kamizelka wniwecz pogryziona. Stara już była, ale co tam w niej smacznego znalazły, pojąć nie mogę. Fantazy! aby zębięta nie próżnowały.

Kota burego nie widać na dachu; jeżeli dla niego godzina sprawiedliwości wybiła — cieszyć się będę. Tyran był. Ile ma młodych wróbli na sumieniu, nie zliczyć. A wszystkie

chwycone zdradą. Trzeba go widzieć, gdy się skrada — rzekłbyś, żestoi w miejscu, posuwa się, jak igła zegaru, nieznacznie, nagle skok — i już chrupie.

Często mnie tak zirytował.

3 sierpnia. Na przechadzce pod świętym Aleksandrem nawinął mi się Czupurny. Byłbym go nie poznał, wystrojony, włosy uczesane, prawie ładny — roznosi gazety! Od piasku do gazet, w jaki sposób szczęśliwy awansował, nie umiał, czy nie chciał mi powiedzieć! Dostyc, że na eleganta wyszedł, buty całe, czapka na bakier, teczka na pasku, a mina — daj go katu. Sam mi się zaprezentował, śmiejąc i skacząc. Ucieszyłem się, jest na dobrej drodze; uznaje już użyteczność alfabetu i dobrodziejstwa sylabizowania. W kieszeni pobrzękiwał trzygroszniakami. Ciekawym, do czego to go doprowadzi — Opatrzność czuwa. Dałem i ja mu dwuzłotówkę, bo mi się jego rażność podobała.

Spotkałem także tę nieszczęśliwą babę, co była przy Sulzerze, mocno napiła — ale ekskuzuję ją w mych oczach, raz, że mogła, służąc temu człowiekowi, nabrać nałogu, powtóre, że opuszczona jest i w wielkiej nędzy.

W takim położeniu ja nawet wódkę ekskuzuję. Dobrze nam, co mamy przytułek, jadło i jakie takie jutro, na nędzarzy hałasować, a w ich staniu!... tyle szczęścia, co sobie palnę zaleją. Politowania godni, nie urągowiska.

4 sierpnia. Nawet w stworzeniach jest pamięć i wdzięczność. Psisko, com mu nogę przewiązał, poznał mnie na ulicy, powąchał, zaskowyczał i tak się witał, że mi się prawie rozpląkał; ktoś na niego wisnął — i poleciał. Chwili tej jednak nigdy w życiu nie zapomnę. Poczciwe psisko!

5 sierpnia. Na obiedzie u moich przedziwnych gospodarstwa utraktowali mnie znowu flakami, wiedząc, że ja je lubię, tłuste i korzenne były, a posilne!! Na wsi w Sroczyńcu ani rozum nie jadł; ale za to bywały kluski z mlekiem wysmienite. Zapiliśmy flaki paru kieliszkami wina. Mili ludzie i mogę powiedzieć, że w nich braterskie znalazłem serca.

6 sierpnia. Spotkałem na przechadzce pana senatora, a że on wprzód sam się mojej przypomniał znajomości, sądziłem, że mi wypada się uklonić, mijając go. Udał zrazu, że mnie nie postrzegł, co łatwo poznać było, potem się widać namyślił i, zawróciwszy, sam przyszedł do mnie z twarzą uśmiechniętą. Po staremu mnie zagadnął:

— Jak się masz, panie Gabryelu?

— Do usług.

— Jakże tam idzie?

— Z łaski Bożej, nieźle, jak staremu... nie skarzę się.

Począł się uśmiechać.

— Waćpan, panie poruczniku, zawsze więcej żyłeś dla ludzi, niż dla siebie, i teraz pewnie trzymasz się tej wysmienitej metody. Jakże tam protegowani jego?

Śmiał się.

— Za mały jestem, abym mógł kogo protegować — rzekłem.

— Przecież wspomniałeś mi pan o jakimś chłopcu, sierotce....

Nastawiłem uszu. Oho! myślę, sumienie go ruszyło. Chwyciłem się tego i począłem, śmiejąc się, o Czupurnym mu opowiadać. Słuchał niby obojętnie, lecz pewien jestem, że w nim też serce zakolatało.

— Przyznam się — rzekł — że mnie ta historyjka zainteresowała, porucznik miał dar opowiadania. No, i matka tego chłopca była na dworze starościny, może pozwolił, abym i ja w twym dobrym uczynku miał udział jaki. Czasy ciężkie — jednakże....

Sięgnął do pugilaresu, milczałem. Spojrzał mi pytająco w oczy.

— Jeżeli pan senator chce coś uczynić dla sieroty, nie godzi mi się odrzucać — rzekłem.

Drżącą ręką zaczął przewracać w pugilaresie.

— Czasy ciężkie — powtórzył, wetknął mi w rękę papierek, uklonił się i odszedł prędko, nim mu podziękować mogłem.

Dopiero po odejściu jego rozwinąłem asygnatę — dwudziestopięciorublową. Fraszka to była, ale zawsze lepiej, niż nic, i świadczy o poruszeniu serca. Teraz na mnie spada kłopot, jak to użyć, aby poszło na korzyść chłopcu, nie na swawolę. Zakłopotalem się mocno, muszę się poradzić z moim poczciwym gospodarzem.

7 sierpnia. Bieda z tymi 25-cio rublami, istna bieda! Jako kapitał na procencie, przyniesie bzdurstwo, do utrzymania w szkołach chłopca za mało, do oporządzenia za wiele. Co z nimi zrobić? Gospodarz radzi, abym u niego wziął sukna, które on ma dać bardzo tanio i od stóp do głów chłopca obszyć kazał. A co mu potem? Wolałbym go zate pieniądze dać gdzie do nauczyciela, ale na długoż to stanie?

Nie chciałbym mieć nic na sumieniu; pytam wszystkich, radzę się, każdy co innego mówi, i dwóch się nie zgodziło na jedno. Muszę samego łobuza odszukać i spenetrować go — czego by też on sobie życzył. Nie inaczej.

Bury kot znowu po dachach łązi, że też go lichy nie wzięło! Ale co złego, to nie ginie.

8 sierpnia. Udało mi się przydybać Czupurnego, ale już w stanie odmiennym całe: bez gazet, bez teczki, mina kiepska i odzienie poszarpane. Zaparłem go do kątki i wziąłem ostro na spytki. Nie chciał mi się tłumaczyć, lecz na końcu wyznał, że w bójce z ulicznikami gazety mu poszarpano i rzucono w błoto, i z tego powodu abszyt dostał.

— Cóż robisz?

— A no, nic — rzekł — z głodu mrę — odparł, płacząc....

— A ja — odezwałem się po ojcowsku — właśnie mam i dla ciebie trochę grosza od jednego pana, który... u którego matka twoja nieboszczka służyła. Dał mi je na to, abym ci pomógł.

— No, to daj mi je pan! daj! daj! — począł wołać, naciskając chłopiec.

— Poczekaj! nie dam inaczej, jak na poczciwego, ażebyś przejadł i zmarnował; nie pozwolę. Pójdiesz na naukę.

— A jako żywo! — zawołał, prawie płacząc — nie pójdę.

Poczęliśmy się tedy sprzeczać, nie mogąc z nim dojść do końca. Dałem mu kilka złotych, a z 25-cio rublami wstrzymałem się. Kazałem przyjść do mnie. Obawia się gospodarza; zaręczyłem, że mu się nic nie stanie.

(Kilkanaście kart w rękopiśmie wydartych).

1 października. (Rok, jak się zdaje, następny). Trzeci raz już stukam do drzwi gospodarza mojego, rano i wieczorem, znaleźć go nie mogę. — Prawdę rzekłszy, procent, który mi tak regularnie, jak zegarek, płacić przyrzekał, zalega. Kapaniną oddaje i niechętnie. Musi być biedne człeczysko w interesach, ale już ciż o kapitał nie mam się co obawiać, boby go był nie brał, żeby nie miał ewikcyi. Człowiek uczciwy, wiedział, że to mój ostatni fundusz.

Należy być wyrozumiałym.

Muszę się trochę ścisnąć, bo już się i zapas wyczerpał i grosza przy duszy nie mam, ledwie trochę miedzi, co dla ubogich była odłożona.

3 października. Nie może to być — nieporozumienie jakieś, nie wierzę w niepodobieństwo. — Plotki są. Wczoraj u Kasi, przysłuchując się rozmowie, doszło do mych uszów, jakoby gospodarz mój zbankrutował i znikł, a na kamienicach długów tyle, że ostatnie pospadają. Wistocie, że gospodarstwa obojga w domu niema, drzwi zamknięte na kłódkę, sklep opieczętowany, ale nie wierzę, ażeby mnie nieszczęśliwego mieli... ale to nie może być. Mój kapitalik się znajdzie. Nie byliby mnie namówili na odebranie go od Potockich i lokowanie u nich, gdyby nań pewności nie było. Mogliby być tak niesumienni?

Mogą być chwilowo w ambarasie.

Trzeba zegarek zastawić. Głowy nie tracę. Co robić, co robić!

4 października. Chodziłem do prawnika, którego mi polecono, bardzo słusznego człowieka, na radę, bo okazuje się, że istotnie ci biedni zbankrutowali. Okoliczności, złe czasy, dopust Boży, może rachuba fałszywa. Czeremskiński wziął mój skrypt i obiecał się poinformować. Pewny jestem, że źli ludzie przesadzają... tak znowu fatalnie mnie Pan Bóg za moje w ludziach zaufanie pokarać nie zechce. Pojutrze obiecał mi rezolucję....

6 października. Byłem u Czeremskińskiego. Stań się wola Twoja. Powiada, że istotnie mój gospodarz zbankrutował, w niezbyt uczciwy sposób. Moja należność, stojąca na samym końcu w rejestrze, podobno nie da się odzyskać. Spytałem, czy choć w części? Wątpi o tem bardzo.

Nie wierzę temu, lecz, jeśliby się Panu Bogu podobało dotknąć mnie, już ciż się to bez woli jego stać nie mogło. Mamże rozpacząć? A co rozpacz pomoże?

Posiłowski mógłby mnie wziąć za gumienego, boć ja wiele nie potrzebuję, a na coś się przydać mogę. Nogi mam jeszcze i oczy, do dozoru posłużę. Trzeba tu jednak wyczerpać wszelkie środki. Gdyby mi się choć, bodaj, część trzecia okroiła, choć byle co — ale nic! nic! Nie może to być.

8 listopada. Wracam do tych moich notatek, choć z ciężkim sercem. Wola Twoja, Panie, powtarzam, aby nie popaść w zwątpienie. Z domu zasekwestrowanego ruszono mnie na bruk; bo sumiennie nie mogłem przyrzec, że płacić będę za mieszkanie, gdy nie mam czem. Pocziwa stara przekupka dała mi przytułek u siebie w alkierzu za małą bonifikacją. Zawadzać jej nie będę. Rzeczy i garderobę posprzedawałem, aby nie mieć ciężaru z tych rupieci. Po co mi była garderoba? Jedna odzież na lato, druga na zimę, starczy. Człowiek jest swobodniejszy. Nie czuję się też słabszym przez to, że jem tylko chleb i czasem coś trochę ciepłego. Te regularne obiady to niedobre nawyknięcie — człowiek i żołądek się rozpieszczą.

Trzeba brać przykład ze stworzeń Bożych, które ani stołu, ani kucharzy nie mają, ani regularnych godzin pożywienia, i silne są i zdrowe. Więc ta metoda, urwij, podaj, musi być najlepiej zdrowiu sprzyjająca. Bieda uczy rozumu, słowo daję.

Jutro, zostawiwszy manatki moje u pocziwej kobiety, chociaż dni są zimne, pójdę do Sroczyzna. Chłopca ze szkół odebrali, więc się ja ich tu nie doczekam. Posiłowski mnie przygarnie po koleżeńsku, nie wątpię — nie potrzeba mi wiele, a odsłużę, dalipan.

15 listopada. Wracam ze Sroczyzna, okazuje się, że w rachubach omyliłem, nie winię pocziwego Posiłowskiego, ani żony jego, ale miejsca nie mają, obchodzą się bez gumienego, byłbym im ciężarem. Muszą myśleć o dzieciach. Bądź co bądź, *prima charitas ab ego*<sup>11</sup>. Mają słuszność.

Gdy się wypowiadałem im z mojego nieszczęścia, biedni ludziska ręce załamali, spojrzeli po sobie, stary mój kolega długo się słowa nie mógł odezwać. Powiedziałem mu zaraz, że przychodzę do niego służby szukać; na co jejmość zakrzyknęła:

— Zmiluj się, albo to my panowie, żebyśmy sługi trzymali! my sobie sami służyć musimy!

Przyjęli mnie, jak nie można lepiej. Sam widzę, że źle rachowałem, bo przy ich szczupłych funduszach niepodobieństwo się obarczać. Spędziliśmy wieczór na gawędce, jak za dobrych czasów.

Ja nie desperuję, że jakiegokolwiek miejsce, zajęcie, gdziekolwiek w mieście uda mi się wyszukać: nie jestem wcale wymagający, byle kątek, jaka taka strawa, odzienia mi do trumny starczy. Z obuwiem może być trudność, ale Opatrzność Boża! Grzech wielki, że zwątpiłem o niej. Jeżeli na ziemi potrzebny jestem, pomoże mi, jak nie... no — to cóż? albowiem to ja pierwszy, lub ostatni w położeniu podobnym?

Ta pocziwa stara moja gospodyni musi suponować, że ja już nie mam co jeść, bo mi ciągle jakąś przekąskę proponuje, a ja nie miałbym sumienia, gdybym pracującą biedną kobietę objadał. Więc się wymykam umyślnie w tej porze z domu, gdy jedzą, ażeby mnie nie nakarmili, a wróciwszy, opowiadam niestworzone rzeczy o paradnych obiadach, których nie jem. Suchy chleb to istotna kuracja dla człowieka! Apetyt, jakiegom nie miał dawno! Wszystko mi pachnie. Każda rzecz wydaje się przedziwnego smaku.

Sygneta ojcowskiego nie radbym sprzedawać, chciałbym, żeby go ze mną włożono do trumny; z tej gałęzi Rzempińskich jestem ostatni — *sterilis*<sup>12</sup>. Boję się, żeby mnie do tego gwałtowna potrzeba nie zmusiła. Miałem kilku dłużnych mi, ale tych teraz ani odszukać, i — są to ludzie biedni — naciskać trudno.

Roboty na żaden sposób znaleźć nie mogę. Podjąłbym się wszelakiej, bo się pracy nie wstydzę, byle siły starczyły. Wszędzie mnie odprawują, spojrzawszy, że stary, politykując. A od czegoż Opatrzność, tylko co jej nie widać! Trzeba wytrwać, serca sobie nie psując. Pogodnym czołem, panie Gabryelu! zuchowato! Czoło stawić przeciwności! Albo to ja jeden? Miałem i ja dni dobre, miałem być wyjątkiem i nie zaznać biedy? Chyba bym człowiekiem nie był. Wszystko to w porządku, a narzekać, gdy się tyle chwila jasnych przeżyło, byłoby niewdzięcznością.

<sup>11</sup>*prima charitas ab ego* — pierwsza miłość od siebie (łac.). [przypis autorski]

<sup>12</sup>*sterilis* — bezdzietny (łac.). [przypis autorski]



17 listopada. Mój Czupurny, Pan Bóg łaskaw, na człowieka wyjdzie, słowo daję, mnie to tak cieszy, jakbym sam doznał nad sobą opieki. Od czasu, jak mi się go udało umieścić w magazynie u Zelta, do posyłek, pod dozorem, zaszła w nim zmiana szczęśliwa. Chłopak, wzięty w ryżę, otarł się, otarzał, sam mówi, że mu dobrze, wygląda, jak jabłko, a w sklepie mi powiadają, że okrom tego, iż nadto żwawy, nic mu do zarzucenia nie mają. Spotkałem go wczoraj w ulicy, z dwoma pudełkami pod pachą, poświstującego piosenkę. Gdymnie zobaczył, sam, poczciwe chłopczyśko, przybiegł do mnie i w rękę mnie pocałował.

— No, jakże tam? — zapytałem.

— A dobrze! chwalić Pana Boga! Ale — spojrzal mi w oczy — coś jegomość mizerny!

— Ja? co ci jest?....

— Czy to prawda, że pan wszystko stracił? — zapytał.

— Jakto wszystko? — odpowiedziałem, uśmiechając się — widzisz przecie, że ani humoru, ani spokoju sumienia, ani ufności w Bogu nie straciłem, a reszta — fraszki.

Jakoś się tak do mnie uczepił Czupurny, jakby on teraz chciał mnie pomódz! Ale! zapewne! Śmiech bierze, musiałem co prędzej odejść. Takżeby nie miał sumienia, ja, stary, młodemu odbierać, który na świecie potrzebniejszy jest, niż ja. A po mnie co światu? Do grobu się i tak dowlokę.

18 listopada. Niema, jak bieda, żeby ludzi doświadczyć, a co pociech z jej łaski! — Najprzód o poczciwości serca tego mojego kochanego Czupurnego się przekonałem; powtóre: cóż to za zacna kobieta, ta moja stara karmicielka! Gderliwa, kwaśna, ale serce złote. I gdyby nie interes Czupurnego, nie byłbym jej poznał i nie miałbym z niej opiekuńki, nie wiedziałbym, że pod tak niepozorną lupiną tak piękna dusza i serce kryć się mogą!

Nieszczęście też na coś przydać się może, ledwie, że nie dziękuję ręce, co mnie niem dotknęła, tyle spotykam na tem ludzkiem śmieciisku dyamentów.

A! ta moja Izydorowa! Ktoby na nią spojrzal, albo posłuchał, gdy, wzięwszy się w boki, wymyśla, stojąc w straganie, mógłby ją za niegodziwą babę mieć; tymczasem to złota kobieta!

Jużbym też był najniewdzięczniejszym z ludzi, gdybym za tak tani grosz, będąc u niej w komornem i doznając tyle z jej strony miłosierdzia, nie starał się około domu być użytecznym. Robię więc, co mogę, i to mi na zdrowie doskonale służy. Parę razy pójść do studni, skałek nałupać, ognia pomódz rozpaścić, spisać rachunek, tak mi łatwo przychodzi, a Izydorowej jest zawsze jakąś ulgą. Ma ona dosyć i tak na głowie.

19 listopada. Coraz być zimniej zaczyna; dzięki Bogu, że bajówkę mam niezgorszą i mróz, gdy przyjdzie, nie dokuczy mi. Mało co było porozparanego koło niej, nie mając co robić, pozaszywałem. Dawniej się do tego krawca brało i kilka groszy nadaremnie wydało, a teraz, na nice wyróciwszy, tak paradnie zrestaurowałem, że i krawiec z profesyi lepiejby nie potrafił. Wszystko to są korzyści z położenia, *gratiae status*<sup>13</sup>, anim suponował, żebym się umiał tak z igłą obchodzić. Z butami cięższa sprawa.

Butów jednak jest, starych wprawdzie, par kilka, a te, przemieniając stosownie do pory, okoliczności i ich przymiotów, długo się nimi obchodzić mogę. Oglądałem je dziś właśnie. Jedne mają podeszwy doskonałe, a skóra na nich popękała, w drugich przeciwnie, zdarte podzelowanie, a przodki paradne i mocne. Trzecie, najgorsze, ale te mogą służyć do błota, żeby tamtych oszczędzić. Nóg nie mam co pieścić, choćby zamokły, nic się im nie stanie. Mało też teraz wychodzę z domu, chyba do kościoła na mszę świętą. Spacerować mi się odechciało, zważając na buty, przyjemność to za kosztowna.

20 listopada. Ten bestya Czupurny musiał mnie chyba szpiegować, dosyć, że dziś parzę, a ten w progu stoi. Ażem się zachnął! Dobral sobie chwili, żeby Izydorowej nie zastać.

— A ty tu co robisz?

— Ot, przyszedłem zobaczyć, co się z panem dzieje — odezwał się, oglądając dokoła.

— Po drodze mi było. Widzi pan, musi już być bieda, kiedy pan się wniósł do przekupki, do tego paskudnego alkierza....

<sup>13</sup>*gratiae status* — korzyści z położenia (łac.). [przypis autorski]

— Jaka bieda?! — zawołałem — cóż ci to znów świta w głowie? Ale! cóż to, nie wolno mi fantazyi mieć? Znudziło mi się na jednym miejscu, tom się tu wniósł. Kobieta dobra, mnie tu wygodnie.

Czupurny począł cmokać, rozglądać się, dobył z kieszonki od kamizelki, nieśmiało, trzy talary i począł je w rękę obracać, patrząc na mnie.

— Ja bo panu winien jestem — szepnął.

— Coś ty mi winien?! — krzyknąłem — oszalałeś, czy co?!

— A jużciż — rzekł cicho. — Cóż to ja żebrak, czy co? Pan mi pożyczał, pożyczał, a teraz się powiniennem wypłacać powoli. Więc niech to będzie na rachunek.

I położył trzy talary na rogu stolika. Dopiero, gdy się okrutnie gniewać począł, wziął je i, nadąsawszy się, poszedł.

Patrzajcie go!... A to mi się podoba!

No, ale z niego być może człowiek, a ktoby to był powiedział, gdy od takiego łobuza poczynał. Miły Boże! jakto nigdy ludzi pośpiesznie sądzić się nie godzi!

25 listopada. Ja bo taki zawsze, to powtarzam, nie tak źli są ludzie, jak ich czernią melancholicy i mizantropowie.

Wczorajszego dnia, że dzień był wcale niczego, suchy, a nawet ciepławy, jak rzadko o tej porze roku, wyszedłem się raz przejść trochę, choć mi butów żal, ale z ostrożnością i należnymi dla nich względami, omijając miejsca wilgotne i zbyt szorstkie.

Trochę w moim alkierzu bywa duszno i mokrawo... czasem stare piersi ledwie tem powietrzem oddychać mogą. Potrzebowałem świeżej aury i ruchu. Było to pod wieczór, bo dniem pokazywać się nie lubię w resztkach odzieży, jaka mi pozostała, aby się starym znajomym z lepszych czasów, choć ich niewiele jest, nie nastrożać z moją biedą. Wróciwszy, zastałem moją gospodynię nad miską ciepłej strawy, jak zwykle, po trudach dnia, wypoczywającą. Babusia, tak do gadania nawykła, że nawet, gdy już sama jest i mogłaby gębie odpocząć, sama do siebie coś mruczy. Zobaczywszy mnie, otarła usta i powiada śpiesznie:

— A tu do pana, panie poruczniku, dwa razy poczytliion list jakiś przynosił, ale mnie go oddać nie chciał, bo ważny i do własnych rąk jego.

Mocno mnie to zdziwiło! List, do mnie! Nie mogłem pojąć od kogo, a jeszcze jakiś ważny. — Któżby do mnie mógł mieć jaki interes? Ja na świecie z nikim nie koresponduję. Byłem niespokojny. Co to może być! Całą noc mi to po głowie chodziło, i gorzej spałem, niż zwykle, choć może i ta zaducha wilgotna w alkierzu przyczyniała się do tego. Dziś już nie ruszyłem się z domu, czekam. Co to być może? Myśli galopowały, odgadując. — Około południa, patrzę, idzie poczytliion i gruby list niesie w rękę.

— Pan porucznik Gabryel... *et caetera*<sup>14</sup> — powiada — aż w policyi musiałem się o pańską kwaterę dowiadywać.

— Ja jestem.

— Niechże mnie pan tu pokwituje.

Patrzę na kopertę, pismo nieznanome, stempel zagraniczny i kazali półtora złotego dopłacić za porto. Aż mi się przykro zrobiło. List najwyraźniej do mnie, z tytułem porucznika. Cóż to może być? Rozrywam kopertę, wypadają jakieś banknoty niemieckie. Oslupiałem. Zrazu nie mogłem pojąć, od kogo to przyszło. Za co? Po co?

A to, list od mojego zbankrutowanego gospodarza, co mi zarwał moje półtora tysiąca czerwonych złotych, niech mu Bóg nie pamięta. Pisze tedy, iż go sumienie gryzie, że mi posyła na moją należność, co może! Cud łaski Boskiej. Banknotów znalazłem w liście na sto talarów pruskich! Jezu miłosierny, czysta manna i rosa niebieska. Właśnie pod zimę mogę sprawić parę butów nowych, bo buty są dla mnie pierwszorzędną potrzebą. Izidorowej będę mógł z góry zapłacić komorne, no, i czasem sobie trochę ciepłej strawy pozwolić. Poszedłem na mszę świętą na podziękowanie Bogu, który serce tego człowieka poruszył. I nie jest to jeszcze tak z gruntu niepoczciwy człek, kiedy przecie coś mi przysłał... Miły Boże! a czułem-bym ja taką radość z tych, z pozwoleniem, głupich pieniędzy, gdybym nie zaznał trochę biedy, niedostatku i kłopotu. Wszystko bo ma swą dobrą stro-

<sup>14</sup>*et caetera* — i tam dalej (łac.). [przypis autorski]

nę, tylko trzeba ją umieć znaleźć, a nie zakwaszać się i nie truć lada czem. *Sit nomen Domini benedictum*<sup>15</sup>. Sto talarów, a toż skarb!

26 listopada. Gdym historię tę moją opowiedział Izidorowej, poczciwe kobiecisko tak się tem ucieszyła, że się niemal splakała. Zarazem jej za komorne zapłacił z góry, choć brać nie chciała. Spokojną mam całą zimę, a że powietrze w alkierzu nie jest najwyśmienitsze?... pieścić się nie trzeba. Jedna rzecz mi dokucza najbardziej, to zbyt blizkie sąsiedztwo becuki z kwaszoną kapustą, która mi jakoś śmierdzi. Surową kapustę nawet jeść lubię, ale tak przez cały dzień nią oddychać, staje się niemiłym trochę. Mam nadzieję wszakże, iż się do tego przyzwyczaję i naturę zwyciężę, bo to są kaprysy człowieka rozpieszczonego. Dzięki Bogu zato, co jest, a wymyślać się nie godzi. Ludzie do daleko przykrzejszych wyziewów nawykają.

27 listopada. Poszedłem z butami do Odrzyńskiego, z którym się oddawna znam, i jest człek uczciwy. Cholewy jeszcze bardzo dobre, skóra doskonała, dychtowa, jakiej teraz nie dają. Przyszyć tylko przodki nowe i buty będą choć od parady. Po radzie z Odrzyńskim i małym targu o cenę, przyrzekł mi uszyć po przyjacielsku, żeby to przecie trzymało, nie tak, jak to nowomodne obuwie, co staje na dwa dni z dzisiejszym. Nigdy nie zapomnę, co mi nieboszyk Sulzer opowiadał o tym szewcu z Krakowskiego Przedmieścia, którego mu (za jego lepszych czasów) zachwalono. Prawda, że robił buty eleganckie, choć je było w salonie na etażerze postawić, ale tyleż tego. Sulzer kazał mu sobie uszyć buciki, włożył je i we trzy tygodnie z podeszew — strzępki, skóra spękała się w kawałki. Idzie do tego sławnego artysty ze skargą, a ten mu odpowiada, w boki się biorąc:

— Cóż to dziwnego? Waćpan chodzisz piechotą, ja tylko dla tych buty robię, co karetami jeżdżą, i po roku u nich całe.

Ale mój Odrzyński inny człek, wchodzi w położenie, rozumie, czego mi potrzeba.

Z koszul się naśmiałem, przedsięwziąwszy rewizję ich, trzy jest wcale całych i dobrych, dwie mocno nadwężone, ale niezdesperowane, jedna na onuczki chyba. Czytałem gdzieś, że ludzie dawniej koszul wcale nie nosili. Jestto, prawdę powiedziawszy, zbytek, ale że się do niego nawykło, znałogowało, trzeba słabości uledez. Liczba niedobitków moich bardzo dostateczna. Bywało w wojsku miewaliśmy dwie całej parady, jedną w mantelzaku, drugą na sobie. Jedna się przepierała, druga wkładała, a wyśmienicie się żyło z niemi. Och! och! jakoś to będzie, przy pomocy bożej, jakoś to będzie!

1 grudnia. Tchnąć nie było czasu, a tembardziej pisać. Dnia 28 listopada zasłabła nagle Izidorowa poczciwa, zaziębła się, siedząc w straganie, czas był szkaradny, chłód przejmujący, a nigdy się porządnie ciepło odziać nie chciała. Wieczorem położyła się w łóżko z gorączką, a nad rankiem wzmogła się ona tak, że utraciła przytomność. Pobiegłem po doktora zaraz i siedzieć przy niej musiałem na przemiany ze służką sierotką, i o wszystkim pamiętać. Dosia, głupia dziewczyna, głowę całkiem straciła, lamentując i ręce łamiąc. Kilka dni nie wiem, czym jadł, a co o śnie, mowy być nie mogło. Biednej, starej, poczciwej gospodyni, ot tak, prawie się nagle zmarło, tylko, że trochę odzyskała przytomności, gdy jej księdza sprowadziłem.

Zdawała się być nie źle w swoich interesach, a po śmierci okazało się, że nie zostawiła nic oprócz długów i trochę rupieci. Familia nie chciała nic wiedzieć o pogrzebie, ani o trumnie, ani o niczem; spadł na mnie obowiązek, od którego się nie myślałem uchylać i zapłaciłem za wszystko. Trochę sprzętów zabrano za długi, a co gorzej, że mnie z alkierza wyrugowano, choć zgóry za niego zapłaciłem. Nieboraczka, świeć panie nad jej poczciwą duszą, wcale temu nie winna, niech jej Bóg da spoczynek po pracy ciężkiej! Biedna, zacna, prostoduszna istota!

Odprowadziłem ją do grobu i rzuciłem garść ziemi na ubogą trumnę. Nazajutrz potrzeba sobie było kąta szukać, a co na zawołanie i w tej porze nie łatwo. Trafiał mi się w ulicy ten mój poczciwy Czupurny i jak zaczął biegać, znalazł izdebkę na tyłach, u jakiejś ubogiej wdowy po stolarzu. Ubogim z ubogimi zawsze najlepiej i najbezpieczniej, swój swego rozumie... Prawda, że izdebina paradna nie jest, że muszę przechodzić przez pierwszą, pełną dzieci i wrzawy, bo te robaki jej krzykliwe są, zwawe okrutnie i po nocach nawet biednej matce spoczynku nie dają. Piecyk śwędzi i dymi, wilgoci dużo, zawsze to jednak lepiej, niż żadnego nie mieć przytulku. Człowiek się zwolna do tego, co złe i nie-

<sup>15</sup>*Sit nomen Domini benedictum* — niech Imię Boże będzie błogosławione (łac.). [przypis autorski]

dogodne, przyzwyczajai, a co się da poprawić, poprawi. Ta biedna majstrowa przy swych kłopotach, których ma dużo, rozirytowana, biedna do zbytku, dzieci zbytecznie karci i musztruje, po całych dniach ją słycać, ale, jak sama powiada, została sierotą z liczną familią na głowie, nie może sobie rady dać i to ją czyni niecierpliwą, a czasem nawet wydaje się złą, ale nią nie jest. Serce najlepsze, ale, bieda! bieda! rzadko kto ją nosić umie, jak należy, tak samo jak i szczęście. Biedna kobieta z dziećmi temi ma kłopot, i z czeladzią, która buszuje, bo warsztat prowadzi, co nieraz i mężczyźnie trudno.

Ja mam dla niej wielki szacunek, bo zabiegliwa, pracowita, śmiała i nieznużona; a że hałasuje i klnie, bez tego się nie obejdzie, mając przez wierzch głowy roboty i troski.

Obliczyłem się dziś z nadwergężoną kasą moją. Pomimo strat poniesionych, nieuchronnych, zimę jakoś przekołatam, chociaż ścisnąć się, oszczędzać potrzeba. Gdybym mógł sobie co zarobić, z serca pychę szlachecką i porucznikowską zrzuciwszy?... Ale gdzie? jak? kogo o to prosić? Niewiele umiem, lub tak jak nic, siły w rękach trochę jest, więc chyba by się ta prosta zwierzęca siła dała zużytkować, a cóż w tem złego? Do pisania oczy mi nie służą; nie jestem pewny czy *correcte*<sup>16</sup>, jak to teraz wymagają, mógłbym przepisywać. Rzemiosła żadnego nie umiem, a uczyć się bodaj za późno.

6 *grudnia*. Dzisiaj, prawdziwy cud! Spotkałem się z kolegą Roźniakiem. Ni mniej, ni więcej nie widzieliśmy się lat trzydzieści. Byłbym go też nigdy nie poznał, bo postarzał i zmienił się nadzwyczajnie, ale miał brodawkę poziomkową około nosa, jakiej drugiej nigdy w życiu nie widziałem, po niej go zaraz przypomniałem sobie.

Wołam nań:

— Panie Pawle! — na próbę.

Odezwał się odwracając:

— He?

Ale mnie nie poznał wcale, może z powodu ubogiej mojej odzieży, albo i wieku. Niegdyś człowiek dosyć elegancką miewał minę, wąż do góry, ho! ho!

Musiałem mu się po formie zaprezentować i przypomnieć, dopiero zakrzyknął:

— Na rany boskie, a czyż to być może?

Widował mnie w innej sytuacji. Między nami jest tam nawet przez nasze matki jakieś dalekie pokrewieństwo. Ze stroju, miny i fantazyi zauważyłem, że mu się dziać musi dobrze i pomiarkowałem zaraz, że się nie powinien przed nim skarżyć na tę moją biedę, aby tego nie wziął za przymówkę do kieszeni.

Złoty człowiek, dobry z kośćcami, ale zawsze był skąpy. Wszyscy wady mamy, nie jesteśmy aniołami, to trudno, a z drugiej strony człek z familią, ma obowiązki; skąpstwo jego nazwać należy cnotą.

Musiałem przed nim udawać wesołego i dziwaka, boby się nędzy mojej nastraszył i czmychnął mi, a niezmiernie mi się z nim chciało rozmówić o naszych wspólnych znajomych, o starych czasach, o tych rzeczach, co w duszę balsam leją, o których ja nie mam do kogo przemówić i słowa.

Pogadaliśmy tak na początek trochę, w ulicy stając, i odprowadziłem go do hotelu Smoleńskiego. Gdym mu zaraz w początku dał do zrozumienia, że choć się prezentuję tak ubogo i niepozornie, nic od nikogo nie potrzebuję, poweselał widocznie. Wiedział dawniej, że miał kapitalik u Potockich, umyśliłem zmydlił, nie przyznając się do tego, że go straciłem, boby nieochybnie stchórzył i humorby mu odebrało.

Traktuje mnie więc jako bezdzietnego starowinę, po którym, w danym razie, *titulo*<sup>17</sup> pokrewieństwa mógłby się nawet spodziewać przyjacielskiego legatu.

A to jest, prawdę powiedziawszy, z mojej strony szelmstwo i niegodziwość, wyrzucam to sobie. Nie będę go długo utrzymywał w tym błędzie, boby to było kłamstwo i podłość; honor nie pozwala. Bylebym się z nim wygadał o wszystkich, rozpytał, nacieszył, powiem mu prawdę całą. Jestem pewien, że gdy się dowie o niej, strach go ogarnie. Ludzie są słabi; na widok cudzego nieszczęścia, tak jak zaraźliwej choroby, czują niepokój i trwogę.

7 *grudnia*. Roźniak się rozochociwszy prosił mnie na obiad. Nie zrujnuje się na to, bo w Smoleńskim hotelu stół nie drogi, a butelka portera krajowego także nie przeje-

<sup>16</sup>*correcte* — poprawnie (łac.). [przypis autorski]

<sup>17</sup>*titulo* — tytułem, z powodu (łac.). [przypis autorski]

dzie dwu złotych. Mój Boże! mój Boże! Jakże mi się tu wydało wszystko smakowitem, przedziwnem! Tak dawno nie jadłem porządnego obiadu, a nawet i obiadu wogólności, ograniczając się chlebem, serdelkiem, albo nawet chlebem z jaką taką polewką. Co to za dobrodziejstwo ten głód, jak on wszystko potem czyni wyśmienitem!

Ale fraszka obiad! cośmy się nagadali, naprzypominali i naśmiali!

Najbardziej mnie to poruszyło, gdy Roźniak wspomniał boską ową Paulinkę, w którejem się ja na zabój kochał, którą jeszcze dziś pod siwym włosom ubóstwiam. Rodzice ją gwałtem za staregowydali i uczynili nieszczęśliwą, a Roźniak mi powiada, że jeszcze teraz, gdy kto o mnie wspomni przy niej, rumieni się biedna, jakby młodą była i przy sięga, że ona mnie w sercu nosi. Notabene, że bezdzietną jest, stary safandula cały jej majątek zapisał i zmarł zostawując wdową. Staralo się o nią wielu, za nikogo wyjść nie chciała. Boska Paulino, stary nędzarsz nie mogą nawet pójść ci się dziś rzucić do nóg i podziękować, aby ci lepszego obrazu z pamięci nie wygluzować. Spotkamy się odmłodzeni na innym świecie.

Dawno takiego nie doznawałem uczucia, czułem się odmłodzonym. Łzy mi się zbierały pod powiekami. Oni mnie tam, powiada Roźniak, dawno mają za umarłego, to i lepiej.

Dosiedzieliśmy tak za stołem, gadu-gadu, do późnego wieczora. W końcu Roźniak powiada mi:

— Co bo wy panie Gabryelu, w tem mieścisku siedzicie, niewiedzieć na co i po co? Wiesz co, przyjeżdżaj do mnie na wieś, w oficynie są dwa pokoiki śliczne, jakby zrobione dla ciebie. Ja was za tanie pieniądze dobrze żywić, opalać, opierać będę, dam wam i ciepły kąt, chłopaka do usługi.

Milczałem, słuchając, a serce mi biło. E! radaby dusza do raj, ale grzechy nie puszcza. Dłużej kłamać milczeniem nie godziło się. Powiedziałem mu tedy:

— Mój drogi, ja bo i najtaniej wkrótce płacić nie będę miał czem.

Ten aż osłupiał, a potem żachnął się.

— A kapitał—że ten u Potockich?

— He! he! — rzekłem śmiejąc się — dawno mu *requiem aeternam*<sup>18</sup> zaśpiewano.

— Jak to? zmarnowałeś go? na co?

Opowiedziałem mu całą historię tego kapitału, po prawdzie, obwiniając moje własne głupstwo, a oczyszczając biednych ludzi, którzy pewnie sądzili, że to ich uratuje. No, nie udało się, a ja padłem ofiarą.

Mój Roźniak, jakby na niego kto wiadro zimnej wody wylał, ostygł natychmiast, zakłopotał się, zmieszał mocno.

Po chwilce niewiodącej się rozmowy, powiada na ostatku:

— Prawdę a Bogiem, tobie bo już bez miasteczka, do któregoś nawykł, bardzo by było przykro! Tybyś na wsi nie wyżył, bo nałóg ma swe prawa. Trudno na starość obyczaj zmieniać.

Potem poczał na ludzi wyrzekać i na swoje interesa, że mu idą nieszczęśliwie, że córkę starszą wydał za trutnia, że go syn niezmiernie kosztuje. I tak rozstaliśmy się.

8 grudnia. Awantura! Słowo daję. Gdym dzisiaj rano przyszedł do Roźniaka, choć mi nic nie wspominał o wyjeździe wczoraj, już go w hotelu nie zastałem. Wyniósł się czy wyjechał, portyer mi coś przez zęby niewyraźnie cedził, jakby zakłopotany, a w końcu gdym się dopominał o to, co się z nim stało, zawołał niegrzecznie:

— Dosyć, że niema! Co darmo gębę studzić, kiedy powiadam, że niema, to niema.

I tyłem się do mnie obrócił. Ci ludzie w ciągłych kłopotach nawykają do takiego kwaśnego humoru, nigdy wesołego w hotelu portyera nie widział.

Musiał odebrać wiadomość z domu Roźniak, i to go do nagłego odjazdu napędziło. Byle się co złego mu nie stało.

10 grudnia. Zabawna znowu historia. Gdym szedł przejść się po Dynasach, spotykam człowieka z piłą pod pachą, a ten popatrzysz na mnie, wręcz proponuje mi, że kompan od piły mu zasłabł, czybym ja się nie zgodził z nim razem drzewo trzeć!

Z początku mnie to wzruszyło jakoś dziwnie, aż krew mi do głowy palnęła, ale się w jednej chwili opamiętał. A cóż w tem złego? co w tem złego? Naprzód, że biednemu

<sup>18</sup>*requiem aeternam* — wieczne odpocznienie (łac.). [przypis autorski]

człowiekowi dopomogę w ten sposób do zarobku, powtóre, nie od tego jestem, ażebym i sam coś uczciwie zarobił. Więc od słowa do słowa, w gawędę. Człek jakiś śnać i stateczny i roztropany, bardzo mi się podobał. Z powodu, że piła jest jego własnością, połowy zarobku mi dać nie mógł, co sprawiedliwa, trochę więcej nad część trzecią. Ale ba, pomyślałem, trzeba i tego popробować. Zgoda, chodźmy. W taki czas chłodny satysfakcja jest drzewo trzeć, tak to wysmienicie krew rozgrzewa. Niema jak ruch, zwłaszcza dla nas podstarzałych. Zrazu szło mi nieosobliwie, potem, jakem się ułożył, piłowałem, słowo daję, jakbym w życiu nic innego nie robił. Zabawiło mnie to. Siedliśmy coś przekąsić, wdałem się z moim nowym kolegą, panem Filipem Chromym w gawędę i z przyjemnością go słuchałem opowiadającego dzieje swe. Szkoda, że człeczysko z tego swojego stanowiska zbyt czarno patrzy na świat i z piłą się pogodzić nie może. Ale co za harda dusza! mosanie! Jakos i on mnie i ja mu śnać do serca przypadłem, bo mi w końcu powiedział:

— Bierz go lichy tego Pankiewicza, który raz wraz choruje, bo się zalewa, jak jegomość chcesz, ja robotę mam zawsze, będziemy z sobą drzewo piłowali.

Czemu nie? Jestem przekonany, że mi z tem będzie zdrowo! Co mam robić? próżnować? baki zbijać, a siłę, która jest, marnować? Prawda, że mi wieczorem ręce bolały i kto wie, czy pod pachami nie nabrzękło, ale to przejdzie... Gagatkiem żadnym nie byłem, siłę mam jeszcze! A do piły, panie poruczniku! Słowo daję, śmiać mi się chce... Żeby tylko moja szlachta się o tem nie dowiedziała, boby mnie ukamienowali.

Zarobiłem parę złotych, które mnie więcej uszczęśliwiły, niż dawniej tysiąc. Niema to jak ubóstwo, aby dodać smaku do wszystkiego...

*24 grudnia* Co tam ten biedny stary Filip Chromy zrobi beze mnie? Pankiewiczowi dał abszyt, a ja tymczasem dłużej z nim drzewa na żaden sposób trzeć nie mogę. Siły mnie zupełnie opuściły. Musiałem się wczoraj położyć i ot, jeszcze na samą wigilię Bożego Narodzenia majstrowej mojej chorobą uczynić przykrość. Boć to rzecz nieprzyjemna chorego mieć pod bokiem, ale anistęknę, ani drgnę, ani pisnę, ani się ruszę! Sza! choć okrutnych bólów doznaję.

Niewielka sztuka... (tu zmazano)...

Zimno w izbie, palce kostnieją, pisać niepodobna, a obok dzieci huczają! daj im Boże na zdrowie. Jakie to wesołe!... Coś mi jest bardzo, bardzo niedobrze: żebym mógł choć zasnąć!

*25 grudnia.* Na mszy świętej, na pasterce być nie mogłem, przykro mi to bardzo, ale nogi mam obrzękłe, obuwia ani wciągnąć, w głowie się jakoś kręci, w ustach zasycha, no, i oczy się kleją, może choć zasnę.

Miałoby to już być oswobodzenie?

Niech Bóg czyni ze mną, co Jego wola i laska; żyło się też dosyć! Stań się wola Twoja i niech za wszystko Imię Twe będzie błogosławionem.

---

Na ostatniej stronie zeszytu, po ogromnym żydzie, który wygląda, jakby na nim z rąk pióro wypadło, obcą ręką dopisane:

„Dn. 25 Decembris 18. Wezwany przez majstrową Łukaszową Niedźwiedzka do chorego człeka, mieszkającego u niej w komornem, wypowia-  
dałem go jeszcze przytomnego i dałem mu wijatyk i oleje święte.

Umarł wielce przykładnie, jak się z tych raptularzy okazuje, stary żołnierz i szlachcic dobrej familii, człek niegdyś zamożny. Ponieważ fanty, pozostałe po nim, na zapłacenie pogrzebunie starczyły, z miłosierdzia go pochowano. Pokój duszy jego.

Ks. T. M. S. T. Doktor”.

Raptularz mi ten majstrowa oddała, bo się nikomu na nic nie zdał. Osobliwe zrządzenie boże, iż musiałem później na rekwizycję mecenasa M. wydać metrykę zgonu, bo się okazało, że mu niejaka pani Paulina M. wdowa, cały majątek testamentem przekazała, ale nim odszukano porucznika, poszedł już do chwały bożej, i nic dziś nie potrzebuje.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-dziennika-starego-dziada/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Z dziennika starego dziada*, wyd. Gebethner i Wolff, druk W.L. Anczyc i Spółka, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0477-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.